

 Harlequin®

Medical®

Marion
Lennox

Lekarz z Manhattanu



Marion Lennox
Lekarz z Manhattanu

Tłumaczyła
Iza Kwiatkowska

Tytuł oryginału: Dating the Millionaire Doctor

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2010

Redaktor serii: Ewa Godycka

Opracowanie redakcyjne: Ewa Godycka

Korekta: Urszula Gołębiewska

© 2010 by Marion Lennox

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy Wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Medical są zastrzeżone.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeXt®, Warszawa

ISBN 978-83-238-8342-5

MEDICAL – 496

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pięciominutowe randki to kiepska impreza, pomyślał Jake. Tego wieczoru poznał dziewięć kobiet, a ta ostatnia zapowiadała się wręcz beznadziejnie.

Spojrzał na wydruk ze zwięzłą charakterystyką kandydatek. „Victoria, dwadzieścia dziewięć lat, wolna”. Mało obiecujące.

– Miło mi cię, Victorio, poznać. – Gratulacje, pomyślał. Fantastyczne zagajenie.

– Koleżanki nazywają mnie Tori – odparła, odrywając wzrok od podłogi. Ucieknie?

– To twoje pierwsze podejście do randek w pięć minut?

– Tak. Twoje też?

– Owszem.

Niezbýt błyskotliwa wymiana zdań, przyznał w duchu. Co by tu jeszcze powiedzieć?

Wcześniej poznane dziewczyny tryskały energią i błyszczały dowcipem. Nie musiał się wysilać. Ale teraz, kiedy wypadałoby się postarać, wątpił, czy warto.

Czy ta Tori w ogóle się stara?

Victoria, albo raczej Tori, sprawiała wrażenie stuprocentowej prowincjuszki. Miała na sobie czarną spódnicę do kolan, podniszczone czarne szpilki i białą bluzkę z żabotem, a kasztanowe kręcone włosy po prostu związała białą wstążeczką. Była nieumalowana i nie miała żadnej biżuterii. Po co się zgłaszała, jeśli nie zależy jej na

wyglądzie? Zmarszczki wokół oczu zdecydowanie ją postarzały, ale ona najwyraźniej tym się nie przejmowała. Zaczął podejrzewać, że podobnie jak on wcale nie miała ochoty na taką randkę.

Zarządca australijskich nieruchomości doktora Jake'a Huntera obiecywał dobrą zabawę, ale chyba przesadził. Skoro jednak już tu się znalazł, musi coś powiedzieć.

– Czym się zajmujesz?

– Ratuję dzikie zwierzęta.

To do niej pasuje. Uszczęśliwianie innych na siłę. Nie, nie, nie miał nic przeciwko uszczęśliwianiu innych.

– Te, które ucierpiały w pożarach buszu?

– Tak.

Rozmowa się nie kleiła. Pół roku wcześniej wielki pożar spustoszył niemal cały dystrykt, ale Jake jako przyjezdny nie bardzo wiedział, jak o tym rozmawiać. Może powinien zapytać, czy jej dom spłonął albo czy ucierpieli jej bliscy?

Ale fakt, że zgłosiła się na pięciominutową randkę, świadczył o tym, że nie bardzo ją to dotknęło. Mimo wszystko należy tego tematu unikać. Zapadło milczenie.

– A... a ty? – wykrztusiła.

Jeszcze trzy i pół minuty.

– Mieszkam w Stanach, ale mam tu nieruchomości, w dolinie i wyżej. Przyjechałem się rozejrzeć. Może wystawię je na sprzedaż.

– Pożar ich nie zniszczył?

– Nie bardzo. Dogląda ich mój zarządca. To on mnie namówił na tę dzisiejszą imprezę.

– Nie jesteś amatorem szybkich randek?

– Nie – przyznał zgodnie z prawdą. Tori wygląda na osobę, która nazywa rzeczy po imieniu. – Rob wciągnął

mnie w to w ostatniej chwili. Powiedział, że brakuje jednego faceta.

– Wolałbyś być gdzie indziej?

– Owszem.

– To znaczy, że marnuję twój czas. – Nagle szara myszka przeistoczyła się w coś zupełnie innego. Wyrażnie kamień spadł jej z serca. Wstała, po czym uściśniła mu dłoń o wiele mocniej, niż się spodziewał. – To ostania runda, więc możemy już ją zakończyć. Dobranoc.

Ku jego zdumieniu uśmiechnęła się szeroko i promiennie. Tak, że jej nijaka twarz nagle stała się zachwycająco piękna. Ale nie było mu dane długo cieszyć się tym widokiem, bo Tori puściła jego rękę, odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

Siedział osłupiały, bo ledwie wstała od stolika, wydała mu się... śliczna? Tak, śliczna, pomyślał.

Zorientował się, że patrzy za nią nie on jeden, lecz wszyscy zebrani w sali głównej ratusza Combadeen. Równie zdumieni jak on.

Zerwała jego randkę. Pozbawiła go zniewalającego uśmiechu. Pójść za nią?

Nie. Dobrze zrobiła, bo i jego takie randki nie kręcą. Żadne randki go nie kręcą. Znalazł się w Combadeen tylko po to, by sprawdzić stan nieruchomości ojca, podpisać dokumenty umożliwiające ich sprzedaż oraz podjąć decyzję w sprawie ośrodka wypoczynkowego. Załatwi to i wyjedzie. W Stanach czeka na niego praca. Tam jest jego miejsce.

Więc dlaczego taki zdziwiony patrzy na tę prowincjonalną myszkę, która właśnie znika?

Po co w ogóle tam poszła? Namówiła ją na to Barb,

przyjaciółka od serca. Oszukała ją, mówiąc, że brakuje im jednej kobiety, bo ten Jake jasno dał jej do zrozumienia, że znalazł się tu, aby było do pary, że wyświadcza przysługę organizatorom. Bezczelny typ.

Odetchnęła głęboko czystym chłodnym powietrzem, jakby sala w Combadeen Hall była pełna dymu. No cóż, zapewne nigdy się nie uwolni od swądu spalenizny. Ogień, który strawił te góry, odmienił jej życie, a ona jeszcze nie dojrzała, by zacząć nowy etap.

– Proszę, przyjdź – błagała ją Barb. – Brakuje nam dziewczyny do pary. Będzie fajnie. Tori, życie może znowu być piękne. Spróbuj.

Więc spróbowała. Ale bez większego przekonania, pomyślała, spoglądając z niezadowoleniem na swoją spódnice. Trochę już za długo ubiera się w używane ciuchy.

Tori, a oficjalnie doktor Victoria Nicholls, lekarz weterynarii, nie musiała korzystać z pomocy organizacji dobroczynnych, ale odzew całego społeczeństwa był potężny, toteż sale ratusza pękały w szwach od darów, a jej szkoda było czasu na zakupy.

Niczego sobie nie kupiła od momentu...

Nie, nie myśl o tym.

Może jednak nie powinna odcinać się od tych wspomnień, może to pomaga goić rany. Tak, od momentu pożaru nie była na zakupach. Od pożaru nie spotyka się z żadnym mężczyzną, nawet wcześniej... ale wtedy miała Toby'ego. A raczej myślała, że ma Toby'ego. Kanalia. Na samą myśl o nim robiło się jej niedobrze. Jak mogła myśleć, że go kocha?

Wykazała się przerażającą głupotą. Popelniła fatalny błąd, przez który straciła wszystko, więc dlaczego znowu naraża się na podobne ryzyko?

Cholera, musi się pozbierać. Są na świecie dobrzy ludzie. I porządni faceci. Musi się nauczyć ufać ludziom. Ten Jake sprawiał wrażenie...

Znużonego. Przymuszonego. Interesującego?

Może Barb ma rację, twierdząc, że powinna częściej wychodzić, bo Jake poruszył w niej struny, o których zdążyła już zapomnieć.

Przystojny, ale nieogolony, to minus, bo się nie postarał. Ona sporo się naszukała, zanim znalazła tę idiotyczną bluzkę, a on przyszedł na randkę zarośnięty. Ale to mu dodawało seksapilu, do tego ciemne włosy i piwne oczy z siateczką zmarszczek świadczących o tym, że normalnie nie jest znużony, że często się uśmiecha.

Głupoty! Spotkała tego wieczoru dziesięciu mężczyzn i wszyscy zrobili na niej wrażenie niezainteresowanych oraz nieciekawych i mimo że ten Jake wydawał się... ciekawy, okazał się największym gburem.

Raz już postąpiła jak idiotka, więc zawierając w przyszłości bliższą znajomość z facetem, musi kierować się zdrowym rozsądkiem, a nie hormonami, a przy Jake'u grały w niej tylko one. I to jak!

Z uczuciem niesmaku wsiadła do swojego grata, po czym wyjechała z parkingu, skręcając w drogę prowadzącą w góry. Najwyższa pora wracać.

Niech Barb mówi, co chce, ale ona nie jest jeszcze gotowa zaczynać nowego życia. To, które teraz prowadzi, pochłania ją bez reszty.

Czy rzeczywiście? Barb ma rację, przyznała w końcu. Ten okres w jej życiu dobiega końca. Więc co dalej?

Cokolwiek, pod warunkiem, że jej decyzje będą rozsądne, a nie wymuszone hormonami. Z tym postanowieniem nacisnęła pedał gazu.

– Któraś ci się spodobała?

Rob, zarządca działek Jake'a oraz jego przyjaciel z czasów studiów, patrzył na elegancką blondynkę, która kołysząc biodrami, szła do swojego sportowego auta. To była jego faworytka. Niewykluczone, że coś z tego wyniknie.

Inaczej Jake. On nie miał zamiaru się angażować. Chyba był szalony, zgadzając się wziąć udział w tym maratonie. Przyjechał tu na krócej niż tydzień, a wszystkie kobiety, które poznał, nie ukrywały, że liczą na „coś więcej”.

Jego to nie interesuje, bo miłość wybito mu z głowy już w dzieciństwie. Wychowywała go matka, która do śmierci wieszała psy na Australijczyku, który go splodził. Utrzymywała, że jego ojciec był najpodlejszą formą życia na Ziemi. Miłość kończy się płaczem, powtarzała mu, odkąd zaczął chodzić, czyli odkąd wróciła z nim do Ameryki, raz na zawsze, jak twierdziła, żegnając się ze złudzeniami.

Może jej zawiedzione marzenia odcisnęły i na nim swoje piętno? Zapewne psychoanalityk odpowiedziałby mu na to pytanie, ale na pewno by go nie zmienił. Nie interesują go trwałe związki i już. Może się przyjaźnić z kobietami, lubi ich towarzystwo i nie ma nic przeciwko romansom, ale po co narażać się na udręki wynikające z poważnego związku?

Rob za to wspomina ten wieczór, jakby ktoś mu przychylił nieba, jakby tylko czekał na miłość. Żalotne.

– Co ty widzisz w tych szybkich randkach? – dziwił się Jake, na co Rob uśmiechnął się ironicznie.

– Gdzieś jest ta przeznaczona mi kobieta. Muszę ją znaleźć. Żadna cię nie poraziła?

– Twoja pani jest super – przyznał Jake wspaniało-myślnie. – Ale mnie żadna nie ruszyła.

– Co powiedziałaś doktor Nicholls, że wyszła przed końcem?

– Jaka doktor Nicholls?!

– Tori. Wiem od Barb, że jest weterynarzem, gdzieś tam w górach. Należy do tej grupy, której wynająłeś swój dom. Wydaje mi się, że już ją gdzieś widziałem, ale od czasu pożaru panuje tu kompletny chaos. W negocjacjach zawsze pośredniczyła Barb. Dzisiaj... nie udało mi się nawiązać z nią normalnej rozmowy, ale przynajmniej wytrzymała ze mną całe pięć minut, a z tobą nie wytrzymała. Powiedziałeś jej coś przykrego? Barb mi łeb ukręci, jak ją obraziłeś.

– Czym mogłem ją obrazić?

– Ty walisz prosto z mostu, a to nie zawsze się sprawdza.

– Po prostu nie lubię kłamać.

– Więc co jej powiedziałaś? – naciskał Rob.

– Że znalazłem się tam, żeby było do pary.

– Oczywiście – mruknął Rob. – Bardzo zachęcające. Ja biorę udział w takich imprezach, bo jestem łaskawy.

– Stary, to i tak bez znaczenia. – Jake wsunął rękę do kieszeni i zapatrzył się w niebo. Tęsknił za Manhattanem, gdzie gwiazdy znajdowały się w witrynach sklepowych, a nie wysoko na niebie. – Sprzedam dom i wyjadę, chociaż nie rozumiem, dlaczego nie możesz mnie w tym wyręczyć.

– Śmiem ci przypomnieć, że ci to proponowałem, ale ty po raz pierwszy wyraziłeś zainteresowanie i oświadczyłeś, że przyjedziesz i zrobisz to sam.

– Bo ta cena wydała mi się absurdalnie niska.

– Człowieku, zastanów się, kto będzie chciał kupić dom w regionie, w którym często szaleją pożary.

– Ale mimo to znalazłeś chętnych do dzierżawy.

– Tylko dlatego, że dokoła uratowały się pastwiska. I zdecydowałeś się nie pobierać opłaty. Teraz, pół roku później, wszędzie są zielone pastwiska, ale przesiąknięte dymem. Ceny działek w górach pójdą w górę, ale dopiero kiedy ludzie trochę zapomną o pożarze. Tutaj każdy kogoś stracił. Masz szczęście, że cię tu wtedy nie było.

Ha, szczęście ma różne twarze, pomyślał Jake, gdy jechali do drugiej posiadłości: drewnianego domu z przyległą winnicą. Matka na pewno by uznała, że ma szczęście, bo nie musi tu mieszkać. I na pewno byłaby niepokieszona, że on teraz tu się znalazł.

Nie mógł tu nie przyjechać. Był bogaty jeszcze za życia ojca, ale po jego śmierci majątek Jake'a znacznie się powiększył. Nieruchomości w Australii, liczone nawet po cenach po pożarze, warte były fortunę.

Poza wsparciem finansowym, zdaniem matki udzielanym niechętnie, ojciec w innej formie w jego życiu nie zaistniał. W dzieciństwie z nim się nie kontaktował. Odezwwał się nagle dwanaście lat temu, gdy Jake obronił dyplom. Napisał do niego list z gratulacjami i życzył sukcesów w przyszłości. Zaintrygowany Jake odpisał. Dowiedział się wtedy, że ojciec jest lekarzem i pracuje w górach nieopodal Melbourne.

Uznał wówczas, że mógłby poznać człowieka, który na niegołożył. Zaproponował, że go odwiedzi.

– Słyszałem, że twoja matka jest chora i na pewno nie byłaby z tego zadowolona – powiedział ojciec. – Mam drugą żonę. Każde z nas poszło swoją drogą. Czy jest

sens? Po tylu latach? Cieszę się, że zrobiłeś dyplom i jestem z Ciebie dumny. Żałuję, że nie mogłem się z Tobą wcześniej skontaktować, ale teraz... niech już tak zostanie.

Więc tak zostało. Jake rzucił się w wir pracy, obiecując sobie, że kiedyś wybierze się do Australii, ale pięć lat temu ojciec niespodziewanie zmarł na rozległy zawał.

W końcu jednak Jake wylądował w Australii. Przyleciał na pogrzeb. Siedział w kościele w tylnych ławkach, wstrząśnięty smutkiem miejscowej społeczności. Obserwował, jak obcy ludzie płaczą z powodu śmierci jego ojca, człowieka, którego on nigdy nie poznał. Ojca, który nawet nie zaprotestował, gdy matka zmieniła nazwisko ich syna na swoje. Z którym nic go nie łączyło.

Ale gdy nieśmiało wyjąwił starszej pani obok, kim jest, zdziwił się niepomierne, gdy się okazało, że ona wie o nim całkiem sporo.

– Byłam pacjentką Starego Doktora... Zatem pan to Jake. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Jego syn z Ameryki. Pana zdjęcie wisiało na ścianie w jego gabinecie. Nieraz dawałam mu do zrozumienia, że to nie w porządku, że matka pana stąd zabrała, a on odpowiadał: „To, że on jest w Stanach, nie znaczy, że przestał być moim synem. Kocham go, gdziekolwiek mieszka”.

Kochał go? Pierwszy raz o tym usłyszał. Kobieta chciała go przedstawić sąsiadom, ale on był tak wstrząśnięty, że szybko wyszedł.

Może powinien był już wtedy sprzedać te nieruchomości, ale czuł, że byłoby to nie na miejscu. Nękania sprzecznymi informacjami – ojciec naprawdę o nim myślał? – oraz moralnym aspektem takiego spadku wynajął Roba, by zarządzał nieruchomościami, a sam wrócił do

Stanów. Do pracy na stanowisku głównego anestezjologa w szpitalu Manhattan Central.

Ale tu wrócił.

Manwillinbah Lodge, dawniej własność macochy, wytwórnia win i pierwotnie elegancki pensjonat, przez jakiś czas po pożarze służył jako przytulisko dla poszkodowanych. Teraz, dzięki wysiłkom Roba, wrócił do poprzedniej funkcji, ale gości było niewiele.

Rob od dawna pracował w branży hotelarskiej. Pięć lat wcześniej, oczywiście w pogoni za kobietą, znalazł się w Australii i skorzystał z propozycji poprowadzenia pensjonatu, ale ponowne rozkręcenie interesu przerastało jego siły i entuzjazm. Druga nieruchomości, wyżej w górach, ta, gdzie mieszkała Tori i jej towarzysze, uległa poważnemu zadymieniu i od pół roku była szpitalem dla zwierząt.

Może powinien wszystko sprzedać? Pozbyć się wszelkich śladów po ojcu, którego nie znał, zerwać ostatnią nić? Rob znajdzie inną pracę. On zawsze optymistycznie patrzy w przyszłość.

Jechali za samochodem blondynki. Rob to przyspieszał, to zwalniał w rajdowym tańcu godowym. Jake z niedowierzaniem kręcił głową.

– Odczep się ode mnie – odezwał się Rob, czytając w jego myślach. – Pomyśl o swoim życiu erotycznym.

– Mnie to nie dotyczy.

– W tym sęk. Na moje życie składa się praca, wino i kobiety. Na twoje pacjenci, pacjenci, pacjenci... i zmartwienia. Nie martw się. Pensjonat zacznie hulać.

– Możliwe. – Nagle się zastanowił, czym się martwi. Wytwórnia win zarobi na pensjonat, a on nie ma problemów finansowych, więc właściwie po co tutaj siedzi?

A Dom Starego Doktora, jak nazywają go miejscowi, wyżej w górach? Warto się czepiać, że cena za niska?

– Jutro tam pojedę, zgłoszę pośrednikowi i wyjadę.

– Do pacjentów.

– To moja praca.

– Ty i praca – mruknął Rob. – Jak myślisz, dlaczego namówiłem cię na te randki? Żebyś zaczął żyć.

– Żyję.

– Akurat – odparł Rob bez przekonania. – Jasne.